

**BARBARA
KOSMOWSKA**



**niebieski
AUTOBUS**

w
ab



Barbara Kosmowska (ur. 1958) – pisarka i literaturoznawca. Debiutowała jako licealistka, w latach osiemdziesiątych zdobywała liczne nagrody w konkursach poetyckich. Jej pierwsza powieść – *Głodna kotka* – trafiła do księgarni w 2000 roku. Wydany rok później *Teren prywatny* wygrał konkurs „Dziennik polskiej Bridget Jones” Wydawnictwa Zysk i S-ka i znalazł się na liście bestsellerów „Rzeczpospolitej”. Kolejne książki: *Prowincja* (2002), *Gobelin* (2002), *W górę rzeki* (2003), *Niebieski autobus* (2004) i *Hermanice* (W.A.B. 2008) cieszyły się nie mniejszą popularnością. Wkrótce nakładem W.A.B. ukaże się nowa powieść, *Ukrainka*. Kosmowska opublikowała także utwory dla dzieci i młodzieży, ostatnio *Puszkę* (2009) i *Samotnych.pl* (W.A.B. 2011).

**BARBARA
KOSMOWSKA**
**niebieski
AUTOBUS**



Copyright © by Barbara Kosmowska, 2011
Wydanie 1
Warszawa 2011

Mojej kochanej córeczce, Iwie

CZEŚĆ PIERWSZA

Zapachy

Moje dzieciństwo składało się z dźwięków, smaków, zapachów i z czterech pór roku, z których najlepiej zapamiętałam wiosnę. To wraz z nią nadciągały ponętne wonie wolności przerywanej matczynymi krzykami z okna.

„Do doomuuu!!!” – wrzeszczało w powietrze jednocześnie kilka matek, a do otwartych okien kamienic wpadały z majowym ciepłem pierwsze wieczorne chrabąszcze. Jestem pewna, że to właśnie chrabąszcze uwalniały sygnał Dziennika Telewizyjnego, który niepostrzeżenie opuszczał duszne pokoje i spływał z wysoka dalekim echem. Wraz z nim dolatywał do granicy podwórkowej ciemności brzęk naczyń rozstawianych do kolacji. Wylewały się jak mleko ze spodka niebieskoszare refleksy szklanych ekranów.

Światła pochodziły z innej rzeczywistości aniżeli odgłosy. Odgłosy były oswojone jak leniwe psy drzemiące na wycieraczkach. A światła wędrowały w sobie tylko znaną stronę, niczym polujące koty na łowiskach pierwszego zmierzchu. Najważniejszym światłem, a nawet światłością, był ów mdły blask pochodzący z tajemniczych kineskopów. Mam wrażenie, że to on rozświetlał ponure mroki schyłku lat sześćdziesiątych i sprawił, że nie trzeba

było nosić w bańkach mleka z pobliskiego sklepiku. Wraz z kineskopami nadeszły dumne butelek zakończonych kapslami z kolorowych sreberek.

Ktoś może twierdzić, że bańki na mleko nie mają nic wspólnego z telewizorem. Ja jednak uważam, że mają. Że i bańki, i telewizory wyznaczają w rozwoju ludzkości kierunek jakichś podskórnych dążeń i tęsknot za zmianą. To taka wewnętrzna rzeka pragnień, która na pewno popłynęłaby wartkim nurtem domysłów w rozważaniach ontologicznych, gdyby jakiś współczesny filozof zechciał zająć się tymi tęsknotami i dogłębnie je zbadać. Nie jestem tylko pewna, czy sprawa baniek dotyczy w równym stopniu całego świata, co Polski. W tamtych czasach traktowałam problem intuicyjnie, gdyż teoria bytu rzeczy ważnych i mniej ważnych rosła razem ze mną. Wówczas była więc jeszcze całkiem małą teorią. W szarym fartuszkach z kieszonką na kasztany.

Telewizory zwyciężyły w rewolucji o względy. Tę rewolucję nazwałabym blaszaną. Na cześć przegranych baniek. Dzieci też były przegrane, bo stały się jakby również mniej ważne od telewizorów. Dorośli wysyłali nas w dalszym ciągu po mleko, tyle że w butelkach, a sami, zatopieni w blasku i jasności magicznych szybek, otwierali szeroko oczy na wielkie udawanie.

Nie istnieliśmy. Rzeczywistość za pancerną szybą należała wyłącznie do pełnoletnich właścicieli telewizorów. Była chroniona przed naszym dotykiem i wzrokiem. Pokazywana najczęściej w nagrodę. Odbierana za karę.

Telewizory pachniały. Zwłaszcza te pierwsze. Sąsiedzkim potem, który w ciasnocie pokoju stołowego przysłuszał pozostałe wonie. Do dziś widzę obcych ludzi, jak

tłoczą się przed naszym nowiusieńkim aladynem, nieufnie i tępo wgapieni w zygzaki na brzegach ekranu. Wodzą wzrokiem po ustach ładnej pani tłumaczącej cierpliwie nieco przestraszonym widzom, co teraz zobaczą.

Zwykle na środku pokoju siedział tatuś. Nawet ten potłamani fotel z przybrudzonym flauszem nabierał dziwnego dostojęstwa w sztucznym świetle telewizyjnej poświaty. Tata też wyglądał inaczej. Powiedziałabym: jakoś tak świątecznie. Może dlatego, że był podłączony do ładnej pani długim białym kablem zakończonym gruszką. Prototypem pilota bardzo podobnego do latawca na uwięzi. Na gruszcze były różne pokręta, a na nich spoczywała ciężka ojcowska ręka. Tata, niczym Bóg, mógł sprawić, że ładna pani milkła albo ryczała miłym głosem na cały dom. Jaśniała i ciemniała. Znikała, aby pod wpływem tatusiowego kciuka powrócić do swej pracy zdumiewania sąsiadów. Goście przyjmowali te eksperymenty z wielką pokorą, a na twarzy ojca znajdowałam radość, którą zrozumiałam dopiero po latach. Nigdy przedtem i potem nie miał tak widocznego wpływu na losy czyjś życia, a w szczególności na ładne panie. W żadnej innej sytuacji nie ośmieliłby się im przerwać, a cóż dopiero wyprosić je z naszego stołowego! Zmieść z powierzchni ekranu, wyrzucić, aby w następnym momencie łaskawym kciukiem przywołać je, ustrojone w białe kołnierzyki, i pozwolić im mówić to, co miały do powiedzenia.

Siedząc nonszalancko w przybrudzonym fotelu i manipulując gruszką, tata osiągał zaskakujące efekty, z likwidacją ładnych pań włącznie. Nigdy wcześniej, a także potem, nie zdarzyła mu się taka manifestacja władzy. I nie

miało to dla tatusia żadnego znaczenia, że roztacza ją nad zaledwie kilkunastocalowym światem, ponieważ akurat ten fragment był pilnie śledzony przez zdumione oczy sąsiadów. To był najmniejszy świat, jaki widziałam, bo nawet ten oglądany z naszych śmietników, z gołębnika i z szopy na drewno wydawał się dużo większy i nie do opanowania za pomocą małej plastikowej gruszki.

Budowniczym tego świata wcale nie był tatuś. Pamiętam, że karton z ładną panią przyniósł z kolegami wuj Roman. I był to jeden z nielicznych prezentów, z którym nie rozstawaliśmy się przez prawie piętnaście lat.

Dla nas, dzieci, podczas pierwszych seansów brakowało miejsca na tapczanie i na rachitycznych krzesłach. Nie było go też w wąskim przejściu do kuchni. Musieliśmy zadowolić się kucaniem przy ścianie z dykty, skąd niewiele się widziało, ale mocno czuło ten cały dobrosąsiedzki pot buchający z rozgrzanych ciał.

Poza wonią sąsiadów pamiętam zapach wypranej i sztywnej od krochmalu kołdry, pod którą trudno było znaleźć przytulność. Na szczęście kołdry pachniały rzadko. Zwykle na święta, a sporadycznie w jakieś soboty. Mówię tu o naszych kołdrach, bo mama nie miała serca do wiecznego wyżymania tych trzeszczących starościami płócien.

Ja w dzieciństwie pachniałam samogonem. Jestem tego pewna. Ilekroć teraz wkładam nos do lampki z koniakiem, widzę nasz pokój stołowy i lekką mgiełkę oparów unoszących się nad stołem. Bardziej smakuje mi zapach płynący z otwartej butelki niż jej zawartość.

Sprawcą mojego zapachu z dzieciństwa była cała rodzina, a w szczególności wuj Roman. Ojciec mawiał, że wuj Roman zawsze był wszystkim winien. Podobnie

musieli uważać milicjanci z naszego posterunku, bo przychodzili do nas przynajmniej dwa razy w miesiącu i pytali: „No, gdzie jest ten ptaszek?”. Wuj Roman parskał w takich razach śmiechem, wychodząc na korytarz. „Jak wam pokażę ptaszka, to się obaj przekręcicie z zazdrości” – mawiał. I sięgał po płaszcz. A potem wychodzili razem i wuja nie było przez tydzień.

– Na długo teraz? – pytała ojca matka z zatroskaną twarzą.

– E! Do wyjaśnienia. A potem wróci.

– Szkoda – kwitowała mama.

Zawsze się zastanawiałam, co ją bardziej martwi: perspektywa powrotu wuja czy jego niechlubna wizyta w areszcie. Potem matka otwierała okna, aby nasze mieszkanie opuściły alkoholowe mgły mojego dzieciństwa. Ojciec w tym czasie demontował chemiczną fabryczkę i starannie mył długie szklane rurki. Wokół tych rurek w zwyczajne dni gromadzili się wszyscy dorośli: mama, tata, oczywiście wuj Roman i kilku sąsiadów. Wtedy jeszcze nie mieliśmy własnego telewizora i rurki jakby go zastępowały. Głowy dorosłych co chwila nachylały się nad pracującym szkłem, które nam, dzieciom, ofiarowywało ten niezapomniany, gryzący w oczy zapach, wtapiający się w nas tak mocno, że szare mydło, którym nacierałiśmy się nad emaliowaną miednicą, nie mogło sobie z nim poradzić.

Wuj Roman miał własny pokój. Nie wolno było tam wchodzić pod żadnym pretekstem. Tak mówiła mama. Zastanawiało mnie wtedy zawsze, co znaczy słowo „pretekst”. Było to jedno z pierwszych urzędowych słów, jakie poznałam. Do pokoju wuja pukał nawet tata, zanim chwycił za zwisającą klamkę. „Dalej!” – słyszeliśmy zza

drzwi chrapliwy głos wuja i tata znikał w tym zagraconym, pełnym poniewierających się butelek pomieszczeniu.

Siostra, brat i ja spaliśmy w pokoju rodziców, oddzieleni od nich cienką dyktą, o którą nie można się było opierać. Każda taka próba kończyła się zawaleniem tej niby-ściany. Czasami zapominaliśmy o jej chybliwości i razem z dyktą lądowaliśmy na kancie kredensu. Na szczęście kredens był pusty. Mama specjalnie nie stawiała w nim szkła, ponieważ wyflukliśmy już kiedyś jej najcenniejszy serwis, który wuj Roman przywiózł z jednej ze swoich wypraw.

Pamiętam ten serwis. Był w srebrne różyczki z delikatnymi zielonymi listkami. Kiedy wuj go rozpakował, zrozumiałam, że nareszcie jesteśmy bogaci.

– Skąd wujek miał tyle pieniędzy? – zapytałam mamę, dotykając paluszkami delikatnej porcelany.

– Noo, znalazł – odpowiedziała takim tonem, jakby była zmartwiona tym wujka szczęściem.

– I dał nam te talerze na zawsze? – upewniałam się dalej, szczęśliwa, że głupiej Rytce będę mogła powiedzieć o naszym bogactwie.

– Tak, ale nikomu o tym nie mów.

Zawsze było tak samo. Gdy stawaliśmy się bogaci, mama dbała o to, abyśmy zachowali skromność i pokorę wobec tej odmiany losu. „Innym może być przykro, że mamy takie ładne rzeczy” – mówiła, zmuszając nas do milczenia.

Prezenty od wuja Romana, zwłaszcza te najbardziej niepokojące mamę, nigdy nie zagrzewały u nas miejsca. Poza serwisem, który stłukliśmy sami, inne precjoza zniknęły po cichu tak, jak się pojawiały. Nawet nie zdążyliśmy czasami nacieszyć oczu jakimś skarbem, a już go w mieszkaniu nie było.

– Dlaczego nie jemy tymi nowymi widelcami? – zastanawiałam się, przechowując w pamięci jeden z darów wuja: lśniące posrebrzane sztućce.

– Musiałam je sprzedać, abyście w ogóle mieli co jeść – odpowiadała nerwowo mama i wkładała nam do rąk blaszane łyżki.

Moja siostra nie znosiła naszego domu. Uparła się, że będzie mieszkać w internacie, w sąsiednim mieście, i szybko spakowała tekturową walizkę, zabierając tylko swoje dwie bluzki: białą i niebieską.

W dniu jej wyjazdu wuj Roman wrócił przesiąknięty zapachem samogonu i położył na stole nowiutką stuzłotówkę. Tata bardzo się ucieszył, mama też. Oboje wyciągnęli po nią ręce, ale wuj zaprotestował. „Łapy won! – krzyknął. – To są pieniądze na edukację”. I dał wyprasowany banknot mojej siostrze. Wzięła go bez słowa i żegnając się tylko ze mną, poszła kupić bilet do swojego nowego miasta i nowego życia.

Patrzyliśmy na wuja z podziwem. Nie pierwszy raz wymówił słowo, które zdradzało jego wszechstronną wiedzę. Potem „edukacja” kojarzyła mi się z innymi ulubionymi zwrotami wuja, należącymi do eleganckiego świata, nie takiego jak ten nasz, z dykty. „Edukacja”, „koncesja”, „odroczenie”, „ekwiwalent”...

Taaak. To były piękne słowa! Każde z nich mogło ozdobić usta mojej pani od polskiego. Ale pani nie była wujem i nie znała takich trudnych wyrazów. Pani od polskiego, podobnie jak wuj, zasługuje na odrębną historię.

Pani Elwira

Pani od polskiego miała na imię Elwira i często nie było jej w szkole, bo wciąż jeszcze sama się uczyła. Bardzo ją z bratem polubiliśmy za piękne jasne włosy i niebieską kokardę, którą je powstrzymywała przed opadaniem na oczy. Nie umieliśmy jednak zdobyć wzajemności w swych młodzińczych uczuciach. Czytaliśmy całymi nocami, bo pani powiedziała, że jak ktoś chce znać jej przedmiot, musi dużo czytać. Sama nie miała czasu na czytanie, gdyż, jak wspomniałam, wciąż się uczyła i chyba nie szło jej najlepiej.

Pani Elwira wydawała się nam wtedy najmądrzejszą nauczycielką w szkole. Może dlatego, że chętnie i często mówiła słowo „przypuścmy”, i wówczas cały jej szkolny wywód nabierał naukowego tonu. Już na początku lekcji pytała: „Jaki to dzisiaj mamy dzień?”. A następnie udzielała sobie odpowiedzi: „Przypuścmy, że piątek”. Albo: „Kto nam opowie o *Naszej szkapie*? Przypuścmy, że uczyni to Pietkiewiczówna... A jeśli nie uczyni, otrzyma ocenę całkowicie niedostateczną”.

Zawsze byłam ciekawa, jaka ocena jest niecałkowicie niedostateczna. Dopiero gdy dostałam dwóję z plusem, zrozumiałam wyższą logikę języka pani Elwiry, mocno żałując swej wcześniejszej nieufności do jej erudycji.

W lekcjach pani Elwiry zawsze tkwiło ziarno ostatecznej tajemnicy. Kiedy mawiała: „Przypuścmy, że Sierotka Marysia była sama jak paluszek”, rozumiałam, że w ten sposób pani sygnalizuje współlistnienie Marysi i krasnoludków. Bardzo to było podstępne i jednocześnie inteligentne ze strony pani. Pamiętam też, jak nas zapytała

o człowieka, który się kulom nie kłaniał. „Przypuśćmy, że dzieci go znają – mówiła z lisią miną. – Któż to taki?”

– Wujek Roman! – wykrzyknęłam uszczęśliwiona, ale pani Elwira podważyła zasługi wuja w potyczkach z Milicją Obywatelską, stawiając mi ocenę całkowicie niedostateczną.

– Pani ma zawsze pełną rację – przypominała nam, gdy ktoś zgłaszał pretensje do błędu na tablicy. – Pani specjalnie źle pisze, bo sprawdza czujność dzieci.

Kiedyś widzieliśmy, jak tańczyła w swoim wynajętym pokoju u emerytki Graptur. Na piętrze. Tańczyła na golasa i przy każdym ruchu cienie jej dorodnych piersi podskakiwały jak piłki lekarskie. Ciężko i bez przekonania. Patrzyłam na te cienie z wielkim niesmakiem i postawiłam pani za dorodne melony ocenę całkowicie niedostateczną. Pomijając piersi, trzeba powiedzieć, że pani Elwira była bardzo chuda, co pozwoliło mi sądzić, że piersi, poza podskakiwaniem w tańcu, pełnią dodatkowo funkcję balastu pozwalającego jej stąpać po ziemi. Śmiesznie wyglądałaby pani Elwira goniona wiatrem jak obłok. Krążąca nad naszą szkołą i boiskiem. Nie domyślałam się wówczas, że stoję tuż przed epokowym odkryciem prawa grawitacji. I nie wiedziałam, że ktoś mnie w tym już dawno wyprzedził. Być może był to wujek Roman. Jego potężna wiedza z różnych dziedzin i tajemniczy sposób życia skłaniały mnie do podejrzeń, że to właśnie wuj jest autorem najważniejszych naukowych teorii. I to on, nikt inny, pojawił się pamiętnego wieczoru przy furtce pani Graptur, gdy czekaliśmy, aż pani Elwira skończy swój taniec na golasa. Z powodu zaskakującej wizyty wujka nie udało nam się przełożyć sprawdzianu z przyimków. Czymże jednak była

ocena, nawet całkowicie niedostateczna, przy satysfakcji, jaką odczuwałam, śledząc z ukrycia wujka trzymającego narecze floksów. Z kieszeni jego marynarki wystawała butelka wina. Wyglądał jak Lemoniadowy Joe w cywilu, tylko zamiast kolta miał tę butelkę. Floksy rozpoznałam. Należały do mojej mamy. Przynajmniej do południa. W naszym domu wszystko szybko zmieniało właściciela, więc floksy też podlegały temu zwyczajowi.

Schowaliśmy się za krzaki berberysu. Pani na dźwięk dzwonka włożyła zwiewny szlafrok i zbiegła na dół.

– Przyszłeś jednak, Roman? – zapytała zalotnie. Naszym zdaniem niepotrzebnie, bo wuj stał przed nią jak malowany. Z floksami mamy i gwizdem na ustach.

Gdy zniknął w drzwiach, rozejrzałam się z dumą po twarzach moich koleżanek i kolegów. Pani od polskiego od tej chwili w jakimś bliżej nieokreślonym sensie należała do naszej rodziny, może tylko nie bardzo zdawała sobie z tego sprawę. Nigdy dotąd nie mieliśmy w rodzinie nauczycielki, a w pełni zasługiwaliśmy na kogoś tak ładnego i mądrego. Poczulałam do wuja Romana wdzięczność i podzieliłam się swymi spostrzeżeniami z mamą.

– Głupia jesteś – ostudziła moją radość. – Ta wydra należy do większości rodzin w mieście! Powinna pracować nad polszczyzną, a nie łajdaczyć się z każdym, kto się nawinie.

W ten sposób dowiedziałam się, że wuj wyłącznie nawinął się pani od polskiego, co trochę mnie zmartwiło. W czasie jego pozaszkolnych stosunków z panią Elwirą wuj nie przynosił nam prezentów. Raczej zanosił wszystko, co się nadawało do użytku, pani Elwirze. Kiedyś nawet zauważyłam, że miała w szkole chustę mojej mamy.